



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: POCIĄG DO HOLLYWOOD

Swój najnowszy film, „Pociąg do Hollywood” Radosław Piwowarski zadedykował wybitnemu amerykańskiemu reżyserowi Billy Wilderowi, twórcy m.in. takich filmów jak „Stracony weekend”, „Bulwar Zachodzącego Słońca”, „Świadek oskarżenia”, „Pół żartem, pół serio”, „Garsoniera”...

Artysta wszechstronny, tworzył Wilder z równą maestrią ekranowe melodramaty, co filmy psychologiczne, „procesowe” i wreszcie – komedie. Spośród tych ostatnich największe uznanie krytyki zdobyła słynna „Garsoniera” (nakręcona w 1960 r.) z Shirley MacLaine i Jackiem Lemmonem, która otrzymała aż pięć Oscarów. Ale wśród publiczności ogromne powodzenie zyskała przede wszystkim - rok wcześniej powstała - komedia „Pół żartem pół serio”, w której znakomity tercet aktorski stworzyli Marilyn Monroe, Jack Lemmon i Tony Curtis.

Jak pamiętamy, akcja „Pół żartem, pół serio” dzieje się w Stanach Zjednoczonych w latach prohibicji, a trójka głównych bohaterów, w składzie damskiej orkiestry jazzowej (bo Curtis i Lemmon udają kobiety, uciekając przed zemstą gangsterów), pędzi pociągiem przez północnoamerykański kontynent na Florydę, gdzie orkiestra ma występować w eleganckim hotelu. Warto przypomnieć, że Marilyn kreuje w tym filmie postać Polki z pochodzenia, opiewającej i grającej na ukulele dziewczyny o nazwisku Kowalsky...

Sukces „Pół żartem, pół serio” na polskich ekranach był - wtedy, u progu lat sześćdziesiątych – olbrzymi. I musiał ów film głęboko oddziaływać na wyobraźnię (chłopięcą? młodzieńczą?) przyszłego twórcy „Yesterday” i „Kochanków mojej mamy”, skoro obecny „Pociąg do Hollywood” tak bardzo wyraźnie jest inspirowany „Pół żartem, pół serio” i tak otwarcie zresztą, do tamtej komedii nawiązuje. A że nawiązuje do niej na swój bardzo specyficzny, „swojski”, polski sposób (także na sposób właściwy dla specyficznej twórczej osobowości Piwowarskiego) - to już inna sprawa.

Pamiętny film Billy Wildera był komedią „radosną”, filmem iskrzącym się życiem, pełnym lawinowo toczących się gagów; dynamicznie rozwijająca się na ekranie opowieścią pędząca w zawrotnym tempie ku efektownemu, zupełnie zaskakującemu finałowi niczym właśnie ów nowoczesny amerykański ekspres wiozący „dramatis personae” na Florydę. W

komedii Piwowarskiego poszczególne elementy filmowej opowieści scala także podróżowanie bohaterów pociągami, ich ciągła obecność w pociągach, lub w ogóle „na kolei”, gdzie - przejściowo - pracują, marząc o osiągnięciu swego życiowego Hollywoodu. Ale u Piwowarskiego te pociągi są stare, parowe, wolno pełznące po prowincjonalnych polskich szlakach kolejowych. Pociągi jakże „swojskie”, z wagonowymi bufetami przesiąkniętymi odorem piwa, zaśmieconymi i zaplutymi, gdzie samotna „bufetowa”, królująca na stercie transporterów z pustymi butelkami, oddzielona jest od buńczucznych „konsumentów” stalowa siatka. Senne są stacyjki, na których się te pociągi zatrzymują i senne miasteczka, do których udają się ludzie podróżujący pociągami.

Ale przecież jednocześnie, na każdym prawie kroku, okazuje się, że ów senny pejzaż, ów nostalgiczny horyzont wypełnione są po brzegi żywymi drapieżnymi często problemami naszego polskiego „tu i teraz”. I że pod cienką warstwą powszedniości kryją się gorące ludzkie dramaty, wielkie ambicje i ... szalone marzenia Czy jednak aż tak szalone? Czy skazane koniecznie z góry na niepowodzenie? Właśnie na te m.in. pytania stara się sobie odpowiedzieć Piwowarski.

Bohaterka „Pociągu do Hollywood”, córka właściciela lodziarni w prowincjonalnym miasteczku, pracuje w wagonowym bufecie, bo... musi coś robić po tym, jak nie przyjęto jej do szkoły filmowej. Jest młoda, ładna, zgrabna, zdolna, aktorsko wrażliwa, ale ktoś tam w komisji przyjęć orzekł, że ma nieprawidłowy „zgrzyz”. A jednak wierzy ona święcie, że kiedyś dotrze do Billy Wildera do Hollywoodu, i wielki reżyser się na niej „pozna”; tak jak niegdyś bezbłędnie wybrał Marilyn Monroe do wiodącej roli w „Pół żartem, pół serio”. W filmie - po którego obejrzeniu w szkolnych latach gdzieś w małomiasteczkowej remizie, nasza polska „Merlin” zrozumiała, że urodziła się dla kina! Partner „Merlin”, Piotruś, który oblał egzamin wstępny na wydział operatorski szkoły filmowej, jest - jako daltonista! - w dużo gorszej sytuacji. On już chyba tylko może wierzyć w cuda na swojej wyśniewanej drodze do Kina, czy jak kto woli: do Hollywood - w przenośnym i dosłownym znaczeniu tego słowa.

Dążąc uparcie i konsekwentnie do realizacji swych marzeń, „Merlin” i Piotruś przepychała się tymczasem, z dnia na dzień, przez rodzime życiowe realia - i właśnie opisanie tych realiów, z dosadnością, ale i z wielkim poczuciem humoru (to nic, że czasem - jakże gorzkiego!), jest istotnym „miąższem” filmu Piwowarskiego.

Jak to u tego reżysera: nostalgiczność miesza się w „Pociągu do Hollywood” z groteskowością, liryzm sąsiaduje ze zjadliwą ironią, a realność z nadrealnością. I z tego właśnie konglomeratu wyłania się „Pociąg do Hollywood”. Ten film – ni to bajkowy, ni to „realistyczny”, ta iskrząca się ( na przekór wszystkim przeciwnościom losu, jaki doświadcza bohaterów) radością życia oraz wiarą, że wszystko co złe w końcu przeminie opowieść. Co

zresztą dobitnie potwierdza ostatnia doskonale pomyślana sekwencja filmu. No i dam finał, którego tuta nie zdradzę.

Dominuje zaś nad całym filmem uroda, wdzięk, seks, osobowość i także - aktorstwo Katarzyny Figury, która tutaj udowodniła jeszcze, że posiada także mocne komediowe emploi. Partneruje doskonale filmowej „Merlin” młody zdolny aktor Piotr Siwkiewicz, który już w „Yesterday” zwrócił na siebie uwagę. Ale jednak w „Pociągu do Hollywood” jest on (i słusznie!) „tłem” dla Katarzyny Figury. Stała się już ona ulubienicą młodzieżowej widowni, a ma wszelkie dane na karierę ekranową nie tylko w kraju. Może „Pociąg do Hollywood” dowiedzie ją naprawdę do Hollywood?

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 20, s. 5.